

Brzydkie kaczątko

Dobrze było za miastem! Trwało lato, żyto już pożółkło, owies zieleniał się, siano ułożono w stogi; po zielonej łące przechadzał się długonogi bocian i paplał po egipsku – nauczył się tego języka od matki. Za polami i łąkami rozciągały się wielkie lasy z głębokimi jeziorami w gęstwinie. Tak, dobrze było za miastem! Prosto na słońcu leżał stary dwór, otoczony głębokimi rowami wypełnionymi wodą; od samego budynku aż do wody rósł łopian, i to tak wielki, że małe dzieci mogły stać pod największymi jego liśćmi w pełnym wzroście. W samej gęstwinie łopianu było równie ciemno i dziko jak w gęstym lesie, i właśnie tam siedziała na jajach kaczka. Siedziała już od dawna i zaczęło jej to porządnie nudzić – rzadko ją odwiedzali: inne kaczki wołały pływać po rowkach niż siedzieć w łopianie i kwakać z nią. W końcu skorupki jaj zaczęły trzeszczeć.

– Pi! Pi! – dało się słyszeć z nich, żółtka jaj ożyły i wysunęły ze skorupki dzióbki.

– Żwawo! Żwawo! – zakwakała kaczka, a kaczątko pospieszyły się, jakoś się wydostały i zaczęły rozglądać się dookoła, przyglądając się zielonym liściom łopianu; matka im nie przeszkadzała – zielone światło jest dobre dla oczu.

– Jak wielki jest świat! – powiedziały kaczątko.

No jeszcze by! Teraz miały znacznie więcej miejsca niż wtedy, gdy leżały w jajkach.

– A myślicie, że to cały świat? – powiedziała matka. – Nie! On ciągnie się daleko-daleko, tam, za ogród, na pole proboszcza, ale ja tam nigdy w życiu nie byłam!... No czy wszystkie już tu jesteście? – I wstała. – Ach, nie, nie wszystkie! Największe jajo jest całe! Kiedyż temu będzie koniec! Prawda, że już mi się znudziło.

I znów usiadła.

– No, jak sprawy? – zajrzała do niej stara kaczka.

– Ot, zostało jeszcze jedno jajo! – powiedziała młoda kaczka. – Siedzę, siedzę, a wciąż bez skutku! Ale popatrz no na inne! Po prostu cudne! Strasznie podobne do ojca! A on, niegodziwiec, ani razu mnie nie odwiedził!

– Poczekaj chwilkę, spojrzę na to jajo! – powiedziała stara kaczka. – Może to jajko indycze! Mnie też raz oszukano! Ależ się namęczyłam, kiedy wykluły się indyczęta! Strasznie boją się wody; już i kwakałam, i wołałam, i pchałam je do wody – nie idą i

koniec! Daj mi spojrzeć na to jajo! No, tak i jest! Indycze! Rzuć je i chodź, ucz pozostałe pływać!

- Posiedzę jeszcze trochę! - powiedziała młoda kaczką. - Siedziałam tyle, że mogę posiedzieć jeszcze troszeczkę.

- Jak chcesz! - powiedziała stara kaczką i odeszła. W końcu zatrzeszczała skorupka największego jaja.

- Pi! Pi! - i wypadł stamtąd ogromny, brzydki pisklak. Kaczką obejrzała go.

- Strasznie wielki! - powiedziała. - I wcale niepodobny do pozostałych! Czyżby to indycze? No, ale w wodzie i tak się u mnie znajdzie, choćbym miała siłą go tam wpchnąć!

Następnego dnia pogoda była cudowna, zielony łąpian cały zalany był słońcem. Kaczką z całą swoją rodziną udała się do rowu. Buldyk! - i kaczką znalazła się w wodzie.

- Za mną! Żwawo! - zawołała na kaczątką, a te jedno po drugim również buldyknęły do wody.

Najpierw woda zakryła je z główkami, ale potem wynurzyły się i popłynęły tak, że aż radość. Łapki pracowały im jak należy; brzydki szary kaczątek nie odstawał od innych.

- Cóż to za indycze? - powiedziała kaczką. - Patrzcie, jak ślicznie wiosłuje łapkami, jak prosto się trzyma! Nie, to mój własny syn! Wcale nie jest brzydki, jeśli przyjrzeć mu się uważnie! No, żwawo, żwawo, za mną! Zaraz wprowadzę was do towarzystwa: pójdziemy na dziedziniec dla ptactwa. Ale trzymajcie się blisko mnie, żeby ktoś was nie nadepnął, i strzeżcie się kotów!

Wkrótce dotarli na dziedziniec dla ptactwa. Ojej! Co tu było za hałas i gwar! Dwie rodziny biły się o jedną głowę węgorza, a w końcu przypadła ona kotu.

- Oto jak idą sprawy na białym świecie! - powiedziała kaczką i oblizwała dzióbek językiem: jej też zachciało się spróbować głowy węgorza. - No, no, ruszajcie łapkami! - powiedziała do kaczątek. - Zakwakajcie i ukłońcie się tamtej starej kaczką! Ona jest tutaj najważniejsza! Jest hiszpańskiej rasy, dlatego taka tłusta. Widzicie, ma na łapce czerwoną szmatkę? Jak pięknie! To oznaka najwyższego wyróżnienia, jakie tylko może otrzymać kaczką. Ludzie przez to dają do zrozumienia, że nie chcą jej stracić; po tej szmatce rozpoznają ją zarówno ludzie, jak i zwierzęta. No, żwawo! I nie trzymajcie łapek razem! Wychowany kaczątek

musi trzymać łapki osobno i wywracać je na zewnątrz, jak tatuś i mamusia! Ot tak! Teraz kłaniajcie się i kwakajcie!

Tak właśnie zrobili, ale inne kaczki oglądały ich i mówiły głośno:

- No, oto kolejna banda! Jakby nas było mało! A ten jeden jaki brzydki! Jego już nie zniesiemy!

I natychmiast jedna kaczka podskoczyła i dziobnęła go w szyję.

- Zostawcie go! - powiedziała matka-kaczka. - Przecież wam nic nie zrobił!

- Prawda, ale jest taki duży i dziwny! - odpowiedziała zadziorna. - Jemu trzeba porządnie dać!

- Śliczne masz dzieciaki! - powiedziała stara kaczka z czerwoną szmatką na łapce.

- Wszystkie bardzo miłe, oprócz jednego... Ten nie udał się! Dobrze by go przerobić!

- Nie da się никак, Wasza Miłość! - odpowiedziała matka-kaczka. - Jest brzydki, ale ma dobre serce i pływa nie gorzej, śmiem nawet powiedzieć, że lepiej od innych. Myślę, że urośnie, ładniej wyglądać będzie albo z czasem stanie się mniejszy. Zbyt długo leżał w jajku, dlatego nie całkiem się udał. - I przejechała dzióbkiem po piórkach dużego kaczątka. - Poza tym to samczyk, a jemu uroda nie jest tak potrzebna. Myślę, że dojrzeje i пробіje sobie drogę!

- Pozostałe kaczątka są bardzo-bardzo miłe! - powiedziała stara kaczka. - No, czujcie się jak u siebie, a jeśli znajdziecie głowę węgorza, możecie przynieść ją mnie.

Oto zaczęli zachowywać się jak u siebie. Tylko biednego kaczątka, który wykluł się później niż wszyscy i był taki brzydki, dziobały, popychały i zasypywały drwinami dosłownie wszystkie - i kaczki, i kury.

- On zbyt wielki! - mówili wszyscy, a indyk, który urodził się z ostrogami na nogach i dlatego uważał się za cesarza, nadął się i, niczym statek na wszystkich żaglach, podleciał do kaczątka, popatrzył na niego i bardzo gniewnie zahuczał; grzebień cały mu nalał się krwią. Biedny kaczątek po prostu nie wiedział, co robić, jak być. I musiał przecież urodzić się takim brzydkim pośmiewiskiem dla całego dziedzica ptactwa!

Tak minął pierwszy dzień, potem poszło jeszcze gorzej. Wszyscy gonili biedaka, nawet bracia i siostry gniewnie mówili mu: „Żeby cię kot porwał, nieznośny potworze!", a matka dodawała: „Żeby cię nigdy więcej nie widziała!" Kaczki

dziobały go, kury szczypały, a dziewczyna, która dawała ptakom jedzenie, popychała go nogą.

Kaczątek nie wytrzymał, przebiegł przez dziedziniec i – przez płot! Małe ptaszki przestraszone zerwały się z krzaków.

„Przestraszyły się mnie – taki jestem brzydki!” – pomyślał kaczątek i puścił się dalej z zamkniętymi oczami, dopóki nie znalazł się na bagnie, gdzie mieszkały dzikie kaczki. Zmęczony i smutny przesiedział tam całą noc.

Rano kaczki wyleciały z gniazd i zobaczyły nowego towarzysza.

– Kim ty jesteś? – zapytały, a kaczątek kręcił się, kłaniając na wszystkie strony, jak umiał.

– Jesteś przebrzydki! – powiedziały dzikie kaczki. – Ale nam to nie przeszkadza, tylko nie waż się z nami spokrewnić!

Biedaczek! Gdzież mu było myśleć o czymś takim! Byleby pozwolono mu posiedzieć tutaj w trzcinach i napić się bagiennej wody.

Dwa dni spędził na bagnie, trzeciego dnia pojawili się dwaj dzicy gęsi. Niedawno wyklułi się z jaj, dlatego chodzili z wielką dumą.

– Słuchaj, przyjacielu! – powiedzieli. – Jesteś takim brzydalem, że, prawdę mówiąc, podobasz nam się! Chcesz włączyć się z nami i być wolnym ptakiem? Niedaleko stąd, na innym bagnie, mieszkają prześliczne dzikie gęsi-panienki. Potrafią mówić „rap, rap!” Jesteś takim brzydalem, że – kto wie – możesz mieć u nich wielkie powodzenie!

„Pif! paf!” – rozległo się nagle nad bagnem i oba gęsi padły martwe w trzciny: woda zabarwiła się krwią. „Pif! paf!” – rozległo się ponownie i z trzcin uniosło się całe stado dzikich gęsi. Rozpoczęła się strzelanina. Myśliwi otoczyli bagno ze wszystkich stron; niektórzy siedzieli na zwisających nad bagnem gałęziach drzew. Błękitny dym chmurami otulał drzewa i snuł się nad wodą. Po bagnie pluskały psy myśliwskie; trzciny kołysały się na boki. Biedny kaczątek był ani żywy, ani martwy ze strachu i właśnie chciał schować głowę pod skrzydło, gdy spojrzał – przed nim stał pies myśliwski z wysuniętym językiem i błyszczącymi złymi oczami. Przybliżył do kaczątka swoją paszczę, oskalował ostre zęby i – szlap, szlap – pobiegł dalej.

– Chwała Bogu! – odetchnął

Kaczątko. — Chwała Bogu! Jestem tak brzydki, że nawet pies nie chce mnie ugryźć!

I skrył się w trzcinach; nad jego głową co chwila przelatwały śruciny, rozlegały się strzały.

Strzelanina ucichła dopiero ku wieczorowi, lecz kaczątko długo jeszcze bało się poruszyć. Minęło jeszcze kilka godzin, zanim odważyło się wstać, rozejrzeć i puścić biegiem dalej przez pola i łąki. Wiał tak silny wiatr, że kaczątko z trudem mogło się posuwać naprzód.

Ku nocy dobiegło do biednej chatki. Chatka była już tak zniszczona, że gotowa była runąć, lecz nie wiedziała, na który bok, dlatego też jakoś się trzymała. Wiatr porywał kaczątko — musiało podierać się o ziemię ogonem!

Wiatr jednak wciąż przybierał na sile; co począć miało kaczątko? Na szczęście zauważyło, że drzwi chatki wyskoczyły z jednego zawiasu i wiszą całkiem krzywo: można było swobodnie przecisnąć się przez tę szparę do wnętrza. Tak też uczyniło.

W chatce mieszkała staruszka z kotem i kurą. Kota nazywała syneczkiem; umiał wyginać grzbiet, mruczeć, a nawet iskrzyć, gdy go głaskano pod włos. Kura miała małe, króciutkie nóżki, dlatego też przezwano ją Krótkonózką; zносиła pilnie jajka, a staruszka kochała ją jak córkę.

Rano zauważono przybysza: kot zaczął mruczeć, a kura gdakać.

— Co tam takiego? — spytała staruszka, rozejrzała się wokół i dostrzegła kaczątko, lecz ze swej ślepoty wzięła je za tłustą kaczkę, która oddaliła się od domu.

— Ależ niespodzianka! — rzekła staruszka. — Będę teraz miała kacze jajka, byleby to nie był samiec. No, zobaczmy, wypróbujemy!

I poddano kaczątko próbie, lecz minęły trzy tygodnie, a jajek wciąż nie było. Panem w domu był kot, a panią kura, i oba zawsze mówiły: „My i świat!” Uważały się za połowę całego świata, przy tym — za jego lepszą połowę. Kaczątku zaś zdawało się, że w tej kwestii można mieć inne zdanie. Kura jednakże tego nie zniosła.

— Umiesz znosić jajka? — spytała kaczątko.

— Nie!

— Więc trzymaj język za zębami!

A kot zapytał:

— Umiesz wyginać grzbiet, mruczeć i iskrzyć?

— Nie!

— Więc nie wtrącaj się ze swoim zdaniem, gdy mówią ludzie rozsądni!

I kaczątko siedziało w kącie, nastroszone. Nagle przypomniał mu się świeże powietrze i słońeczko, i strasznie zachciało mu się popływać. Nie wytrzymał i powiedział o tym kurze.

— Co ci się stało?! — spytała. — Nic nie robisz, więc ci głupie myśli do głowy łazą! Znoś jajka albo mrucz — a głupota sama przejdzie!

— Ach, pływać po wodzie to taka przyjemność! — rzekł kaczątko. — A cóż za rozkosz nurkować z głową w samą głębinę!

— Piękna rozkosz! — odparła kura. — Zwariowałeś zupełnie! Spytaj kota — on jest mądrzejszy od wszystkich, których znam — czy lubi pływać albo nurkować! O sobie samej już nie mówię! Spytaj wreszcie naszej pani staruszki: mądrzejszej od niej nie ma na świecie! Czy jej, twoim zdaniem, chce się pływać albo nurkować z głową?

— Wy mnie nie rozumiecie! — rzekł kaczątko.

— Skoro my nie rozumiemy, to ktoż cię zrozumie! Cóż, chcesz być mądrzejszy od kota i pani, nie mówiąc już o mnie? Nie głupiej, lecz lepiej podziękuj Stwórcy za wszystko, co dla ciebie učiniono! Przygarnięto cię, ogrzano, otacza cię takie towarzystwo, w którym możesz się czegoś nauczyć, lecz ty jesteś pustą głową i nie warto z tobą rozmawiać! Uwierz mi! Życzę ci dobrze, dlatego cię ganiam: po tym właśnie poznaje się prawdziwych przyjaciół! Staraj się więc znosić jajka albo naucz się mruczeć i iskrzyć!

— Myślę, że lepiej będzie, jeśli odejdę stąd, gdzie oczy poniosą! — rzekł kaczątko.

— Idź z Bogiem! — odpowiedziała kura.

I kaczątko odeszło, pływało i nurkowało z głową, lecz wszystkie zwierzęta nadal gardziły nim za brzydotę.

Nadeszła jesień; liście na drzewach pożółkły i pobrązowiały; wiatr porywał je i wirował w powietrzu; u góry, na niebie, zrobiło się tak zimno, że ciężkie chmury siały gradem i śniegiem, a na płocie siedział kruk i krakał z zimna ile sił w gardle. Brr! Zmarzniesz na samą myśl o takim zimnie! Żle działa się biednemu kaczątku.

Pewnego wieczoru, gdy słońce wciąż tak pięknie świeciło na niebie, zza krzaków uniosło się całe stado cudnych, wielkich ptaków; kaczątko nigdy w życiu nie widziało takich piękności: wszystkie były białe jak śnieg, z długimi, giętkimi szyjami! To były łabędzie. Wydobyły z siebie jakiś dziwny okrzyk, zamachały wspaniałymi, wielkimi skrzydłami i poleciały z zimnych łąk do ciepłych krajów, za sine morze. Uniosły się wysoko-wysoko, a biedne kaczątko ogarnęło jakieś dziwne wzruszenie. Zakręciło się w wodzie jak bąk, wyciągnęło szyję i również wydało tak

donośny i dziwny okrzyk, że samo się przestraszyło. Cudne ptaki nie schodziły mu z myśli, i gdy całkowicie zniknęły z oczu, nurknęło na samo dno, wynurzyło się znów i było jakby poza sobą. Kaczątko nie wiedziało, jak zwą się te ptaki, dokąd lecą, lecz pokochało je jak dotąd nikogo. Nie zazdrościło im piękności: nawet mu do głowy nie przyszło życzyć sobie, by do nich być podobnym; byłby рад даже тому, żeby choć kaczki nie odpychały go od siebie. Biedne, brzydkie kaczątko!

A zima stała zimna-przezimna. Kaczątko musiało pływać po wodzie bez odpoczynku, by nie dopuścić do całkowitego zamarznięcia, lecz z każdą nocą wolna od lodu przestrzeń stawała się coraz mniejsza i mniejsza. Mróz był tak silny, że lodowa skorupa trzeszczała. Kaczątko bez ustanku pracowało łapkami, lecz w końcu osłabło, zatrzymało się i całe zamarzło.

Wczesnym rankiem przechodził tamtędy chłop, zobaczył przymarzniałe kaczątko, rozbił lód swym drewnianym trzewikiem i zaniósł ptaka do domu żonie. Kaczątko ogrzano.

Lecz dzieci zapragnęły się z nim pobawić, a ono wyobraziło sobie, że chcą je skrzywdzić, i ze strachu rzuciło się prosto do cebrzyka z mlekiem — mleko całe się rozlało. Kobieta krzyknęła i załamała ręce; kaczątko tymczasem wleciało do kadzi z masłem, a stamtąd — do beczułki z mąką. Boże, do czego było podobne! Kobieta wrzeszczała i goniła za nim szczypcami do węgla, dzieci biegały, potrącając się nawzajem, śmiały się i wizgały. Dobrze, że drzwi stały otworem: kaczątko wybiegło, rzuciło się w krzaki prosto na świeżo spadły śnieg i długo-długo leżało tam prawie bez przytomności.

Zbyt smutno byłoby opisywać wszystkie nieszczęścia kaczątka podczas surowej zimy. Gdy zaś słońce znów ogrzało ziemię swymi ciepłymi promieniami, leżało ono w bagnie, w trzcinach. Zabłyśły skowronki, nadeszła wiosna-piękna.

Kaczątko zamachało skrzydłami i poleciało; teraz skrzydła jego szumiały i były o wiele silniejsze niż przedtem. Nie zdążyło otrząsnąć się ze zdumienia, gdy już znalazło się w wielkim ogrodzie. Jabłonie stały całe w kwiecie, wonny bez schylał swoje długie zielone gałęzie nad krętym kanałem.

Ach, jak tu było dobrze, jak pachniało wiosną! Nagle z gęstwiny trzcin wypłynęły trzy cudne białe łabędzie. Płynęły tak lekko i płynnie, jakby sunęły po wodzie. Kaczątko poznało piękne ptaki i ogarnął je jakiś dziwny smutek.

„Polecę do tych królewskich ptaków; pewnie zabiją mnie za moją zuchwałość, za to, że ja, tak brzydki, ośmieliłem się zbliżyć do nich, lecz niech i tak! Lepiej być przez nie zabitym, niż znosić uszczypnięcia kaczek i kur, kopniaki drobiarki oraz cierpieć zimno i głód zimą!”

I sfrunęło na wodę i popłynęło naprzeciw pięknym łabędom, które, ujrawszy je, również skierowały się ku niemu.

— Zabijcie mnie! — rzekł biedaczyna i opuścił głowę, oczekując śmierci, lecz cóż ujrzało w czystej jak lustro wodzie? Własne odbicie, lecz nie było już brzydkim, ciemnoszarym ptakiem, lecz — łabędziem!

Nie szkoda, że wykluło się w kaczym gnieździe, skoro wykluło się z łabędiego jaja!

Teraz cieszyło się, że przeszło tyle boleści i nieszczęść: lepiej mogło teraz ocenić swoje szczęście i całą otaczającą je wspaniałość. Wielkie łabędzie pływały wokół niego i pieściły je, głaszcząc dziobami po piórkach.

Do ogrodu przybiegły małe dzieci; zaczęły rzucać łabędom okruchy chleba i ziarna, a najmniejsze z nich krzyknęło:

— Nowy, nowy!

I wszystkie pozostałe podchwyciły:

— Tak, nowy, nowy! — klaskały w dłonie i tańczyły z radości; potem pobiegły po ojca i matkę, i znów rzucały do wody okruchy chleba i ciasta.

Wszyscy mówili, że nowy jest piękniejszy od wszystkich. Taki młody, przepiękny!

I stare łabędzie skłoniły przed nim głowy.

A ono całkiem się zmieszało i schowało głowę pod skrzydło, samo nie wiedząc dlaczego. Było zbyt szczęśliwe, lecz ani trochę nie dumne: dobre serce nie zna pychy, pamiętając ów czas, gdy wszyscy nim gardzili i gonili. A

teraz wszyscy mówią, że jest najpiękniejszy spośród wszystkich pięknych ptaków! Bez schylał nad nim ku wodzie swoje pachnące gałęzie; słońce świeciło tak wspaniale... I oto jego skrzydła zaszumiały, smukła szyja wyprostowała się, a z piersi wyrwał się radosny okrzyk:

— Nie, o takim szczęściu nawet nie marzyłem, gdy byłem jeszcze brzydkim kaczątkiem!